

Duże dzieci, duży kłopot

Autor tekstu: Jerzy Neuhoff

Przed kilku dniami usłyszałem wypowiedź dziennikarza, który powołując się na wypowiedź rodziców naszej nowej gwiazdy tenisowej, podnosił pretensje, iż ani państwo, ani żadni sponsorzy nie zainteresowali się dotąd tym niewątpliwym talentem. A było to, co trzeba podkreślić, jeszcze przed ćwierćfinałem i następnymi spotkaniami. O ile dobrze usłyszałem, to rodzice sportowca musieli sprzedać 'sieć swoich sklepów' lub coś takiego, i z tych pieniędzy pokrywać niemałe koszty rozwijania talentu swego syna. Z tego tytułu mają oni, podobno, żal i do państwa i do bliżej nieujawnionych osób, które nie wspomogły ich w wydatkach.

Natychmiast przypomniałem sobie pewne spotkanie sprzed ponad 50 lat. Otóż do sąsiedniej wioski przyjechał wtedy starszy pan, jak się okazało Anglik polskiego pochodzenia, z wykształcenia przedwojenny inżynier lotnictwa. Miał on zamiar, korzystając z chwilowej słabości ówczesnej władzy, zabrać swego ponad siedemdziesięcioletniego ojca do Anglii, aby ten mógł tam dokończyć żywota. Zamiar ten był wyrazem synowskiej wdzięczności, bowiem ojciec, aby wykształcić syna na inżyniera, wyzbył się sporej części swego gospodarstwa, bo działało się to w latach trzydziestych. Syn studia skończył, bardzo szybko odkupił wszystko to, co ojciec wcześniej sprzedał, ale przyszła wojna, więc młody inżynier przedostał się do Anglii, tam pracował u Vickersa, i właśnie przyjechał zabrać samotnego już ojca do siebie. Ponieważ załatwianie formalności trochę trwało, więc całe, dość sensacyjne wydarzenie, nabrało rozgłosu, a ja, będąc na wakacjach u rodziny, z wizją matury za rok, wraz z kolegą nabraliśmy kiedyś odwagi, by zdobyć się na rozmowę z egzotycznym dość cudzoziemcem. Stąd też moje informacje.

Z obu historii wynika, że sytuacje, w których rodzice doceniają talenty swoich dzieci, nie są żadną nowością, podobnie jak i ta, że chcąc zapewnić im należyte wykształcenie, potrafią zdobyć się na ogromny wysiłek, niepozbawiony przy tym sporego ryzyka.

W obu sytuacjach rodzice zachowywali się racjonalnie i z desperacją, bo choć prawie każdy rodzic wierzy w wyjątkowość swego dziecka, nie każdy jest gotów zaryzykować własne ubóstwo w nadziei jego przyszłego życiowego sukcesu. Świadczy to jak najlepiej o ich rodzicielskiej postawie i przekonaniu o talencie, a w bliższym nam przypadku, także przekonaniu w swoją fachową wiedzę, czyli w naukę, oboje wszak byli wcześniej dobrymi sportowcami i mieli podstawy do racjonalnej oceny możliwości swego syna. Był w tym wszystkim i element wiary, że wszystko ułoży się jak to sobie planują, bo przecież jeden pijany kierowca albo spadająca gałąź, czyli przypadek losowy, mógł zniweczyć każdy plan. Sam zainteresowany też wierzył w sukces, czyli w swoje możliwości, bo trenował zawzięcie, jak się okazało, skutecznie. Jednym słowem, jak dotąd wszystkie okoliczności układają się w pożądaną łańcuch wydarzeń.

Po znanym wszystkim sukcesie, jak donoszą publikatory, wśród licznych, spadłych jakby z nieba kandydatów na sponsorów, natychmiast uformował się komitet kolejkowy; zapewne będą podbijać cenę, tzn. wartość swojej oferty, więc jest nadzieja na szybkie odkupienie tych sprzedanych wcześniej sklepów, albo urządzenie nowych, lepszych, czego im życzę.

W głosie dziennikarza przebijała jednak pewna nuta krytycyzmu wobec sponsorów prywatnych i urzędników państwowych. Nie podzielam tych pretensji, ponieważ, moim zdaniem, wszyscy oni, zarówno wcześniej jak i teraz, zachowują się zupełnie racjonalnie, przynajmniej z ich punktu widzenia.

Jeszcze parę tygodni temu interes ten mógł się wydawać mocno niepewny, zwłaszcza osobom postronnym, nie żyjącym w świecie tenisa, iluż w końcu znaczących biznesmenów lub urzędników państwowych, orientuje się dobrze w możliwościach i szansach poszczególnych zawodników. Takie rozeznanie, to raczej domena i sprawa działaczy odpowiedniego związku. Nie dziwię się więc osobom prywatnym, że nie chciały inwestować w niepewny, ich zdaniem interes. Może nie wierzyli w powodzenie, może ewentualne zyski wydawały im się zbyt małe, a może byli zbyt zajęci innymi sprawami, by starać się zorientować w sytuacji. Mógł na ich postawę też mieć wpływ przykład słynnej kilka lat temu Tereski, która najpewniej zmarnowałaby każde pieniądze, gdyby ktoś zechciał zaryzykować sponsorowanie jej kariery. Sponsorowanie niesie ze sobą nie tylko niebezpieczeństwo poniesienia strat materialnych, ale i rozczarowania.

Gdybym miał pieniądze, to z pewnością nie inwestowałbym ich w tenisistę, głównie dlatego, że sport ten w żaden sposób mnie nie emocjonuje. W życiu dwa razy byłem na takim meczu, w jednym

grał nawet sam Aleksander Metreweli, ale nic porywającego w tym sporcie nie dostrzegłem, taki mam feler. Oczywiście, aby nie robić przykrości gospodarzom, którzy z trudem zdobyli bilety na występ ówczesnej gwiazdy, entuzjazmowałem się, tak jak oni, każdym udanym zagranem, tyle, że z wyraźnym opóźnieniem. Nie dałbym też tych nieposiadanych pieniędzy, ponieważ odnoszę nieodparte wrażenie, że zarobki sportowców nie odpowiadają prawu podaży i popytu, choć kosztów ich uzyskiwania nie znam.

Większe pretensje można mieć do urzędników państwowych, czyli właśnie działaczy sportowych, bo to właśnie oni są oczyma, którymi państwo patrzy na swoich, utalentowanych fizycznie, obywateli. Jakie były motywy ich zbyt mało przewidującego postępowania, nie wiem, przyjmuję na wiarę to, co mówił dziennikarz. Trzeba jednak pamiętać, że urzędnicy nie działają w próżni, i wcale nie byłbym pewien, czy jakiś kontroler, dajmy na to z NIKu lub innej instytucji, nie przyczepiłby się do takiego wydatku. Cóż z tego, że nasz bohater wygrał jakieś tam eliminacje, potem ćwierćfinał i półfinał, skoro przegrał w finale? Mógł sobie przegrać tamte spotkania, ale finał powinien wygrać, bo efekt końcowy się liczy. I żadne tłumaczenia tu nie pomogą.

Teoretycznie państwo nasze popiera 'rozwój kultury fizycznej, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży'. Występuje tu jednak, moim zdaniem pewna sprzeczność: kiedy się chce popierać wszystkich, traci się z oczu jednostki, a że tak jest świadczą choćby takie dwa przykłady.

W przeszłości, państwo nasze każdemu przeciętnie zdrowemu mężczyźnie fundowało dwuletni, a zdrowszym to nawet trzyletni, bezpłatny obóz treningowy. Jednak dość liczne były przypadki, że zainteresowani próbowali się od tego dobrodziejstwa wykręcić i owe dwa lata przeżyć na koszt własny lub rodziny. Dziś, gdy owe możliwości zostały mocno okrojone, komisje poborowe nieomal nie mogą się opędzić od chętnych, z których każdy widzi w swoim plecaku, jeżeli nie marszałkowska buławę, to przynajmniej generalskie szlify.

Drugi przykład jest powiązany z pierwszym. Otóż niektórzy, zamiast służyć Ojczyźnie w szeregach LWP próbowali zadekować się po jakichś seminariach, do których wstęp też nie był łatwy. W rezultacie mieliśmy niezwykle liczne tzw. powołania, a absolwenci seminariów zasilali odpowiednie kadry na całym nieomal świecie. Obecnie, w dobie powszechnej, niemal przymusowej katechizacji, chętnych do jej przyjmowania jakby mniej, coraz to słyszy się jakieś sarkania, wydziwiania i próby wykpienia się od przyjmowania bezinteresownego przecież daru łaski. Odnoszę wrażenie, że równie trudno będzie, jak wcześniej generałów, tak teraz biskupów z tej gromadki wyłowić. Ostatnie alarmujące raporty dotyczące wkładu gimnazjów w utrwalaniu szkodliwych podziałów społecznych też mogą być dowodem na istnienie tej sprzeczności.

Teraz, kiedy szansa kolejnych sukcesów sportowych jest większa, bo przecież pewności, że dalej wszystko pójdzie zgodnie z życzeniami, nie ma, wszyscy też zachowują się racjonalnie. Pojawili się więc sponsorzy, działacze też będą chcieli jakoś włączyć się do gry. Z tego wynika dla mnie wniosek, że racjonalizm ma swoje koszty, jeśli brakuje w nim trochę fantazji, a jeśli myślenie racjonalne okaże się spóźnione, wtedy te koszty będą jeszcze większe. Za pozytywny skutek całej sytuacji uważam ten, że nikt nie będzie mógł przyznawać się do ojcostwa tego sukcesu, przynajmniej przedwcześnie. Wynika z całej sytuacji też pewien wniosek praktyczny, nie dla państwa, ale dla rodziców: jeśli marzą o sukcesie, w pierwszej kolejności to oni muszą inwestować w swoje dzieci. Wiedzą o tym dobrze np. rodzice dzieci uzdolnionych muzycznie.

Jednak uważam, że pierwotny punkt widzenia potencjalnych sponsorów, miał pewną słabą stronę. W rozstrzygnięciu takich problemów jak wybór właściwej strategii pomocna jest teoria gier, a przecież sport to gra, choć może nie zawsze całkiem strategiczna, bywa, że i deterministyczna, ale jednak gra. Wydaje się, że już analiza prostej macierzy 2x2, wygra-nie wygra, warto-nie warto, daje wynik przemawiający za podjęciem ryzyka, ale czy nasi biznesmeni znają choćby podstawy teorii gier, tego pewnym być nie można. Czyli — więcejj matematyki!

Dzieci to jednak nie tylko radość; jeden z naszych luminarzy kultury twierdził wręcz, że dzieci są zakałą ludzkości. Trochę chyba przesadzał w swym krytycyzmie, choć nie wiem, czy patrząc na niektóre poczynania swego niegdysiejszego pierwszego sekretarza, nie utwierdziłby się w swym sceptycyzmie. Dajmy jednak spokój tym sprawom.

W przeszłości, na wielu mieszkalnych blokach wisiły tablice informująca, że 'za szkody wyrządzone przez dzieci, odpowiedzialni są rodzice', wraz z numerem odpowiedniego paragrafu właściwego kodeksu. Niby jest to słuszne i logiczne, ale częstszymi są chyba sytuacje, kiedy jest akurat odwrotnie i to dzieci cierpią za winy, grzechy i głupotę rodziców; ostatni przykład użycia tej niepisanej zasady mieliśmy w Opolu. Dziwnego jednak w tym nic nie ma, tak dzieje się od pamiętnego owocobrania w Edenie, więc mogę udawać, że nie rozumiem, po co te kontrole, te pretensje do sądu i policji. Nie zdziwię się też, jeżeli sąsiedzi będą musieli odpowiedzieć za swoje dobre serce, bo to przecież to nie oni mieli zapłacić grzywnę, na którą się złożyli. Być może naruszyli

ten sam paragraf, który wcześniej naruszyła posłanka Sobecka, ale nie wiem, czy sytuacja jest identyczna, może też prokuratorzy czegoś się w międzyczasie nauczyli.

Odpowiedzialność dzieci za czyny swoich rodziców istniała zawsze i istnieje nadal. Dziecko biedaka jest biedne od urodzenia, choć może się wzbogacić, historia zna sporo takich przykładów, również dziecko rodziców niewykształconych nie musi do końca życia pozostawać nieoświeconym, ale szanse ma większe. W przeszłości dzieci nieślubne były co chwilę uświadamiane o popełnionym przez ich rodziców występku, chyba że pochodziły z odpowiednio dobrych rodzin, gdzie zazwyczaj udawało się jakoś sprawę zatuszować. Czasem tatuś był tak ważny, że lepiej było milczeć, jak to np. udało się hrabiemu Walewskiemu, u którego mało kto zauważał podobieństwo do kogo innego poza szambelanem. To uświadamianie, niektórzy nazywający piętnowaniem, miało swoje uzasadnienie choćby w przysłowiu o jabłku i jabłoni, raz po raz przywoływanym. Dzieci nawet czasem się tym przejmowały i nadal przejmują, choć nie wszystkie.

W cenie były rody, herby, genealogie i koligacje, dziś raczej koneksje. Coś z tego pozostało do dziś, choć tytuły rodowe zniosła już II RP, świadoma, że szlachectwo nigdy nikogo do niczego nie zobowiązywało, chyba, że do obrony własnego interesu, dodajmy też, że i klasowego. Czasy się zmieniły, dziś już można niektórymi przodkami, jeśli się nie chwalić, to przynajmniej nie wstydzić, ja np. raz po raz chwalebę się moimi dziadkami, którzy dzielnie służyli wszystkim trzem kajzerom w Reichswerze, i razem z Bartkiem Zwycięzcą gonili żuawów i turkosów pod Sedanem i Metzem.

Wcześniej, przy każdej okazji przechwalałem się, że chodziłem do podstawówki im. księdza Piramowicza, a było to za głębokiej komuny i do odwilży październikowej było jeszcze daleko, potem pyszniłem się średnią szkołą imienia prof. Suchardy, co uznawałem za wystarczający powód do dumy i wypinania piersi wraz z żądaniem uznania oczywistego faktu, że samo to powinno wystarczać za wszystko.

Nurtuje mnie jednak taki problem. Dzieci wychowują rodzice, ale także przedszkole, potem różne szkoły i nie tak znowu rzadkie są przypadki, gdy właśnie szkoły są piętnowane za brak sukcesów wychowawczych. A szkoły mimo wszystko cieszą się, zwłaszcza wśród najmłodszych, sporym autorytetem. Pamiętam panią, która na Onecie skarżyła się, że dziecko przyniosło ze szkoły wiadomość, iż pająki nie są owadami, i żaden maczyny autorytet nie był w stanie obalić tego przekonania, w tym miejscu powiedzmy — na szczęście. Mój wnuczek też mnie kiedyś zaskoczył, kiedy to, usłyszawszy jakiś pomruk niezadowolenia z mojej strony, postawił sprawę jasno oświadczając, że poskarży się swojej wychowawczyni. Czyli coś jeszcze z autorytetu szkoły pozostało.

Wydawać by się mogło, że im wyższa szkoła tym wychowanie powinno osiągać wyższy poziom, no, bo wychowanie z wykształceniem powinno niby iść w parze. Jeżeli tak, to tym samym i odpowiedzialność wychowawców za braki i niedoróbki wychowawcze powinna być większa.

Czy więc nauczyciele nie powinni odpowiadać za jakość swej nauki? — oto jest pytanie. Ktoś przecież wychowywał i uczył na szczęście już byłego ministra oświaty, procesującego się bez powodzenia z licealistami, i elokwentną posłankę, która swego adwersarza potraktowała słowem tyleż skrzydlatym, co publicznym. Czy może fakt, że dyplomy i tytuły nadali im profesorowie z epoki wczesnego Gierka, być może nawet jacyś 'marcowi docenci' albo i jacyś współpracownicy Bóg wie kogo lub czego, nie należy traktować, jako okoliczność, tylko jaką, albo jako świadectwo niepoczytalności?

Na usprawiedliwienie pani poseł, jakby nie było, panienki z dobrego domu, powiem tylko, że przecież mogła niemiłego jej mówcę czymś oblać albo wręcz spoliczkować.

Aż prosi się zapytać — gdzie byli lub są rodzice, zwłaszcza duchowi, - naszych 'bohaterów', wydaje się, że gdyby żyli, to by się w grobach przewracali.

Jest jeszcze jedna kwestia — jak mają się w tej sytuacji zachować ich uczniowie? Przykład licealistów prowadzących b. ministra do Canossy via Bruksela, daje jednak budujący przykład. Gdybyśmy wszyscy mieli tyle siły, ile oni, nasz kraj mógłby się stać państwem prawnym, jak to deklaruje Konstytucja.

[Jerzy Neuhoff](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 07-11-2012)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8485) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8485>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl